

JESTEŚMY



Pismo wydawane przez Bielskie Stowarzyszenie Artystyczne Teatr Grodzki



Jasełka w Pile
Fot. Ks. Mariusz Ambroziewicz

Jesteśmy...

Jacy jesteście? Odpowiedź przynoszą niezwykle opowieści, historie i gawędy. O tym, jak pomimo choroby, niepełnosprawności i cierpienia można żyć pięknie, ciekawie i twórczo. O niecodziennych doświadczeniach i wspaniałych sukcesach. O tęsknotach i marzeniach. O sile i energii mierzonych na ambitne zamiary. Ale także o smutku, samotności i braku nadziei. O potrzebie bliskości i zrozumienia.

W tym numerze również temat świąteczny i spojrzenie na Teatr Grodzki z perspektywy pięciu lat działalności.

Maria Schejbal

Być aniołem

Wraz ze swoimi przyjaciółmi grałam w jasełkach anioła, który zwiastował narodziny Jezusa. Ja nawet się spodziewałam, że będę miała tę rolę. Bardzo dobrze się z tym czułam, chociaż jestem człowiekiem i mam kłopoty z poruszaniem się. Ale miałam też moją przyjaciółkę, która grała razem ze mną anioła, co był moim pomocnikiem, i ma na imię Damiana. Chciałabym raz jeszcze zagrać.

*Aneta Wąsek
Ruch Wiara i Światło
Wspólnota z Piły*



Ruch Wiara i Światło	str. 2
Grodzkie jasełka	str. 3
Jacy jesteście	str. 4/5/8/11
Pięć lat Teatru Grodzkiego	str. 6/7
Teatr dla życia	str. 9/10
Moja historia (historia prawdziwa)	str. 12

Nasz ruch

Ruch Wiara i Światło gromadzi osoby niepełnosprawne, ich rodziny i przyjaciół. Nasza wspólnota z Piły już od 10 prawie lat należy do ruchu. Zbieramy się co dwa tygodnie, aby pobyć razem,

Zrobiliśmy te jasełka tak po swojemu. Nie udawaliśmy, byliśmy sobą i w swojej prostocie chcieliśmy świętować Boże Narodzenie. Staraliśmy się, by wszystko wyszło jak najlepiej, a jednocześnie nie wstydziliśmy się naszych trudności.

świętować, modlić się i dzielić swoje sprawy. W wakacje wyjeżdżamy na obozy, wtedy wspólnie gotujemy obiady, bawimy się, odpoczywamy. Lubimy razem COŚ zdziałać, nie leniuchujemy. Często rysujemy, robimy plastyczne akcje (w tym roku wytwarzaliśmy ozdoby świąteczne oraz świeczki), raz na rok przygotowujemy też przedstawienie. Raz była to „Królowna Śnieżka”, innym razem „Wiosna”, dwa lata temu przygotowaliśmy jasełka, które pokazaliśmy w kościele. Było to dla nas trudne, ale jednak uwieńczone sukcesem przedstawienie. Sukcesem, ponieważ wzruszyliśmy naszą widownię. Zrobiliśmy te jasełka tak po swojemu. Nie udawaliśmy, byliśmy sobą i w swojej prostocie chcieliśmy



Fot. Ks. Mariusz Ambroziewicz

świętować Boże Narodzenie. Staraliśmy się, by wszystko wyszło jak najlepiej, a jednocześnie nie wstydziliśmy się naszych trudności. Krzys za każdym razem (również w trakcie oficjalnego przedstawienia) przed wypowiedzeniem swojej kwestii pytał „już mam mówić?” Karol, który był

Jezuskiem, krzyczał głośno - nikt nie miał wątpliwości, że stajenka była zimna. Artur, który był biznesmenem, wnosił w wydarzenie sprzed 2000 lat znamiona uniwersalności. Grzesiu - król - przywitał wszystkich z pierwszych rzędów widowni, zapominając, że niesie dary dla Jezusa. Przyśpie-

wywał nam chór aniołów. Czuliśmy, że to nasze bardzo wspólne dzieło znaczy coś nie tylko dla nas - osób niepełnosprawnych, rodziców, przyjaciół - ale i dla tych, którzy przybyli jako widzowie.

Aleksandra Zabel
Ruch Wiara i Światło - Wspólnota z Piły

Świadectwo pracy reżyserskiej z niepełnosprawnymi

Od kilku już lat wspólnota Wiara i Światło stara się uczestniczyć jak najpełniej w życiu naszej parafii i miasta. Udaje nam się to dzięki determinacji i zaangażowaniu wielu zyciowych nam ludzi. Dwa lata temu postanowiłam włączyć wspólnotę do rytmu pracy duszpasterskiej i zgłosiłam chęć wystawienia jasełek dla całej parafii, przygotowanych właśnie przez wspólnotę. Przyznam, nie myślałam wtedy o wielu ważnych sprawach, szlachetnych celach, szoku, jaki to wywoła wśród odbiorców. Zależało mi jedynie na tym, by moja wspólnota dała coś z siebie, coś szlachetnego, pięknego, czym sama żyje na co dzień. Często doświadczaliśmy głębokich wzruszeń podczas naszych normalnych spotkań w salce, gdy przedstawialiśmy spontanicznie scenki do omawianych scen z Ewangelii. Pomyślałam, że to będzie chyba czymś naturalnym, jeśli pokażemy „całemu światu”, że możemy dać z siebie wiele, obdarować innych, podzielić się tym, co wśród nas dobre i piękne. Wspólnota przyjęła mój plan z entuzjazmem i zaczęły się przygotowania. O ile początkowo wszystko wydawało się łatwe i możliwe, oczyma wyobraźni „widziałam” przecież niektóre sceny, o tyle szybko pojawiły się trudności. Po pierwsze dobór odpowiedniego scenariusza, który w swej ostatecznej formie nie był podobny w żaden sposób do pierwowzoru, a i podczas samego spektaklu został przerobiony przez spontanicz-

nie „wyjścia aktorskie”. Po drugie dopasowanie ról do aktorów, których możliwości były przedmiotem wielu rozmów i przemyśleń. Wreszcie próby, których przebieg do ostatniego dnia, do próby generalnej wskazywał bardziej na kompletną klępkę, niż na choćby znamiona sukcesu. Trudne były te przygotowania... Czulałam jednak, że muszę te jasełka wystawić. Wiedziałam, że ludzie muszą zobaczyć niepełnosprawnych i ich możliwości wczucia się w abstrakcyjne przecież dla nich role, tak mi się przynajmniej wydawało. Nadszedł Wielki Dzień, a ja bałam się coraz bardziej. Miałam ochotę uciec z Piły gdzie pieprz rośnie i wrócić do niej już po wszystkim, by tylko zebrać zastępowane według mnie baty za zmarowanie czasu i wysiłku tylu ludzi. A jednak trwała do końca. Kiedy na scenie pojawili się moi aktorzy w pięknych strojach, wiedziałam, że przy nich zostaną do końca. Przedstawienie się zaczęło, a ja miałam wrażenie, że następujące po sobie sceny są żywe, jakbyśmy przenieśli się w inną rzeczywistość. Aktorzy z genialnym wyczuciem kreowali swoje role. Wszyscy mieli swoje miejsce w tym przedstawieniu, swoją rolę nie do zastąpienia, wszyscy byli potrzebni. I dopiero rzut oka w stronę widowni pozwolił mi na powrót znaleźć się w klimacie przedstawienia, które szło swoim rytmem. Niektórzy z widzów płakali, inni śpiewali razem z nami kolędy. Poczulałam, że ro-

bimy coś wielkiego, uzmysłowiałam sobie, że to wcale nie jest takie normalne, że to właśnie my wystawiamy te jasełka. Zrozumiałam, że to wszystko ma sens, o wiele głębszy niż to, co sama dotychczas zauważałam. I nawet, jeśli po przedstawieniu zebrałam bardzo wiele pozytywnych opinii, nawet gdy inni dzielili się ze mną swoim odkryciem świata niepełnosprawnych w społeczeństwie,

ja wiedziałam, że to było potrzebne naszej wspólnotce. Daliśmy coś z siebie, daliśmy samych siebie. A ja... mogę tylko potwierdzić, że z Wiarą i Światłem wychodzą mi najlepsze rzeczy w życiu.

s. Barbara Manasterska RMI
Ruch Wiara i Światło - Wspólnota z Piły



Fot. Ks. Mariusz Ambroziewicz

Kronika Grodzkich Jasełek

Realizacje widowisk bożonarodzeniowych zajmują w historii Teatru Grodzkiego szczególne miejsce. Każdego roku nasi warsztatowicze dzielą się z widzami świąteczną Radością i Nadzieją, głosząc ze sceny Niezwykłą Nowinę. Czynią to na różne teatralne sposoby, z wielkim zapalem i wzruszeniem, jak najpiękniej potrafią.

1999 rok

Grupa teatralna Doroślak działająca przy Teatrze Grodzkim (uczniowie śródmiejskich szkół podstawowych) wystawia Jasełka Joanny Kulmowej. Premiera 17 grudnia w Domu Żołnierza.



Fot. Archiwum

2001 rok

Na pierwsze urodziny Teatru Grodzkiego grupa teatralna Katarantki przygotowuje pastorałkę pod tytułem „Gore Gwiazda Jezusowi”. Premiera 5 stycznia w Domu Żołnierza.

W grudniu mają miejsce kolejne świąteczne prezentacje widowisk:
„Ktoś puka do drzwi” - Grupa Teatralna Centrum
„Dobranocka Betlejemska” - grupa teatralna w Ewangelickiej Świetlicy Integracyjnej przy Parafii Zbawiciela
„Wigilia u Pippi” - Grupa Teatralna Złote Łany
„Jasełka” - grupa teatralna w Świetlicy Środowiskowej przy ul. Grzybowej
„U stajenki” - grupa teatralna w Ognisku Wychowawczym przy ul. Wyspiańskiego.



Fot. Archiwum



Fot. Archiwum

2002 rok

14 grudnia w Domu Żołnierza odbywa się premiera integracyjnego spektaklu „Ktoś puka do drzwi”. Pokazowi towarzyszy spotkanie wigilijne, w którym biorą udział wszyscy uczestnicy zajęć prowadzonych przez Stowarzyszenie, instruktorzy, pedagodzy i terapeuci z placówek objętych projektami artystycznymi, przedstawiciele władz lokalnych i mediów.

2003 rok

„Byśmy tam pobieżeli...” - pod tym hasłem 22 stycznia w Domu Żołnierza ma miejsce przegląd widowisk bożonarodzeniowych, w którym bierze udział 10 zespołów teatralnych działających przy stowarzyszeniu. Prezentowane są widowiska:
„Pastorałki” - Centrum Rehabilitacyjno-Readaptacyjne dla Dzieci Niepełnosprawnych Nadzieja
„Do stajenki” - „Centrum” - Środowiskowy Dom Samopomocy oraz Ewangelicka Świetlica Integracyjna przy Parafii Zbawiciela



Fot. Michał Bagrowski

„Widziane oczyma wielbłąda” - Świetlica Środowiskowa przy ul. Matusiak
„Przemiany” - Świetlica Środowiskowa przy ul. Wapiennej
„Bardzo krótka opowieść wigilijna” - Świetlica Środowiskowa przy ul. Tuwima
„Nasze jasełka” - Świetlica Środowiskowa przy ul. Wyspiańskiego
„Od stworzenia do narodzenia” - Świetlica Środowiskowa Dziupła przy ul. Lipnickiej
„O królu Herodzie” - Środowiskowy Dom Samopomocy Dla Osób z Zaburzeniami Psychicznymi Podkowa
„Czy słyszysz?” - Hostel dla dziewcząt Klimczokówka Fundacji Nadzieja
„Jasełka” - Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy nr 2

16 grudnia na Placu Ratuszowym mieszkańcy Bielska-Białej świętują „Wigilię z Teatrem Grodzkim”. Na schodach Ratusza grupy teatralne działające przy stowarzyszeniu prezentują spektakle bożonarodzeniowe i śpiewają kolędy. W przerwie sesji Rady Miejskiej do kolędników przyłączyli się radni oraz prezydent miasta. Żołnierze z bielskiego batalionu częstują wszystkich barszczem i kapustą z grochem i grzybami.

2004 rok

„Jasełka muzyczne” 20 grudnia w Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym nr 2

Jacy jesteśmy

Moja kropka nad Aktywnymi

Program „Jesteś potrzebny!” już zakończony, ale jeszcze chciałbym coś dodać od siebie. Poza tym, przynajmniej z Aktywnymi, to jeszcze nie koniec... Najpierw jednak chciałbym powiedzieć parę słów o sobie. Urodziłem się... nie, nie, to nie życiorys. W zasadzie jestem zdrowy, jednak mam problemy jak każdy... Na zajęcia Teatru Grodzkiego trafiłem z dość prozaicznych powodów. W Centrum Wychowania Estetycznego dowiedziałem się, że jest coś takiego jak Teatr Grodzki, który prowadzi zajęcia dziennikarskie i jest wolne miejsce. Gdy przyszedłem pierwszy raz do Domu Żołnierza, pytałem się o zajęcia teatru gromadzkiego. Trafiłem gdzieś na półmetek programu „Jesteś potrzebny!”, do grupy Aktywnych. Współpraca z niepełnosprawnymi to było dla mnie coś nowego, ale ja lubię nowe doświadczenia.

Pierwszą osobą, jaką spotkałem była Asia. Rety, ale się ucieszyła z nowego uczestnika zajęć! A jaka żywa, spontaniczna! Pani też chodzi na te zajęcia? - zapytałem kogoś. Nie, ja tylko jestem mamą - usłyszałem. Obok Asi była Kasia. Kasia to wolontariuszka. Nie zdążyłem zapoznać się nowymi ludźmi, a już przysłała Ela z jakimś panem... Okazało się że ten pan to jest nasz gość. Będziemy robić z nim wywiad na temat rodziny. No a Ela? Ela dużo się śmieje i studiuje teologię. Potem przyszedł według Asi skrzący, czyli Agnieszka. To taka mała, co zadaje pytania. Gdy już wszyscy się zgromadziliśmy w sali, rozpoczęliśmy wywiad z gościem. W pewnej chwili weszła jakaś pani. Rozmowa na boku z Kasią - a kto to jest? Kasia podała jakąś gazetę z tą panią na zdjęciu. Wskazała na swój podpis pod wywiadem, nie od razu skojarzyłem, a ona po prostu chciała się pochwalić. Do Kasi od razu poczułem dużo sympatii. Zauważyłem że Kasia jest zaobraczkowana, wspominała też coś o wyjeździe na wies z mężem. W czasie przerwy dowiedziałem się o pasji Asi, jaką jest fotografia. Od Kasi z kolei dowiedziałem się, że dzisiaj na zajęciach jest nudno, ale zapewniała, że zwykle są ciekawsze.

Od Redakcji

Projekt pod nazwą „Jesteś potrzebny!” był realizowany przez BSA Teatr Grodzki od lutego do października 2004. W ramach projektu działały cztery pracownie: dziennikarska, grafiki komputerowej, technik graficznych oraz introligatorsko-drukarska. Pracownikom poświęcony był niemal w całości poprzedni numer „Jesteśmy”.

Informacje na temat europejskiego programu Młodzież można uzyskać na stronie internetowej: www.youth.org.pl

Tak było na pierwszych zajęciach. Wtedy jeszcze, gdy mówiono o „Jesteśmy”, programie „Jesteś potrzebny!” czy chociażby o Święcie Małych i Dużych, to była to dla mnie abstrakcja. Potem już bywało różnie. Nie zawsze przychodziłem na zajęcia, często nie robiłem zadań domowych. Mimo to polubiłem wszystkich Aktywnych. Gdy program zbliżał się ku końcowi, nie mieliśmy wcale ochoty rozjechać się każdy w swoją stronę. Pragniemy dalej działać i tworzyć wspólnie w tej czy innej postaci. Na jednych z ostatnich zajęć dowiedzieliśmy się o programie Młodzież i o możliwościach, jakie on stwarza dla nas. Zaczęliśmy wypełniać wnioski, ale było już niewiele czasu. Wspólnie postanowiliśmy przełożyć projekt do następnej edycji programu w lutym. Trzeba napisać wnioski, przemyśleć wszystko, co i jak. Zapraszam do współpracy wszystkich młodych reporterów, fotografów i grafików. Jestem pewien, że dla każdego znajdzie się coś, czym mógłby się zająć. Jeśli się uda i dostaniemy dofinansowanie, stworzymy razem coś fajnego. Nieważne, jaka gazeta będzie miała tytuł i kto będzie koordynatorem, to są szczegóły techniczne. A propos tytułu, na razie propozycją są Aktywni, może wy macie jakieś pomysły? Ważne, że gazeta będzie pisana przez młodzież, dla młodzieży. Będziemy pisać o młodych ludziach. O ich troskach, radościach i problemach. Pokażemy tych, których warto pokazać, ludzi mających ciekawy pomysł na życie. Gazeta miałaby wychodzić przez pół roku co miesiąc, ale kto wie, może znajdzie się możliwość jej dłuższego wydawania, a może nawet usamodzielnimy się?

Lokomotywa o nazwie Aktywni stoi na stacji, jeśli ruszy i się rozpędzi, to już nielato będzie ją zatrzymać. Wystarczy ją rozpędzić. Pomożecie?

Adam Kawka

Nasza świetlica

Nazywam się Anna Sularczyk, mam 12 lat i uczęszczam na świetlicę środowiskową w Wapienicy. Oprócz mnie na świetlicę uczęszcza 29 dzieci. Odrabiamy tu zadania domowe, bawimy się i gramy w różne gry planszowe. Większość dzieci na świetlicę uczęszcza codziennie i tylko niektórzy chodzą w kratkę. Mamy także nagrody i kary. Nagrody dostaje się co miesiąc za niebieskie kartki. Kary za złe zachowanie są w postaci czerwonych i żółtych kartek. Trzy żółte kartki to kartka czerwona, ta zaś - to zwolnienie ze świetlicy na dwa tygodnie. Moim zdaniem świetlica jest fajna, zajęcia ciekawe, a panie miłe. Wszystkie dzieci są zadowolone ze świetlicowych zasad.

Anna Sularczyk
Świetlica Środowiskowa przy ul. Sobieskiego w Bielsku-Białej



Prace plastyczne dzieci - Świetlica Środowiskowa przy ul. Sobieskiego w Bielsku-Białej

Zastanów się

Dokąd prowadzi Twoja ścieżka
weź się zastanów
na podwórku czterech małych latów
pierwsza przyjaźń
pierwsza miłość
sam decydujesz i nie
zapominasz
być kimś, być sobą
ten czas szybko mija
Ja nawijam to nie meta
jeden marzył o wielkiej forsie
i kobietach
poznał dziewczynę
okazało się, że to nie ta
i aby utrzymać potomka
musi tyrać w fabryce
to nie była m...
wiatr w oczach piach
Pamiętam drugi zaczął palić
jointy i poszedł do wody
miał być sportowcem
lecz (...) mu w klatę
trzeci narkotyki i popłynął
z tematem
czwarty był ostrzejszy
nie chciał bać się niczego
pragnął piekła dla siebie samego
i nie lubił domu swego
lecz była jedna rzecz
której pragnął
zakochać się w kobiecie
którą mu los wyznaczył
Jak szybko mijają chwile
Jak szybko mija czas.

Bartek Fiałek
Świetlica Środowiskowa
przy ul. Sobieskiego w Bielsku-Białej

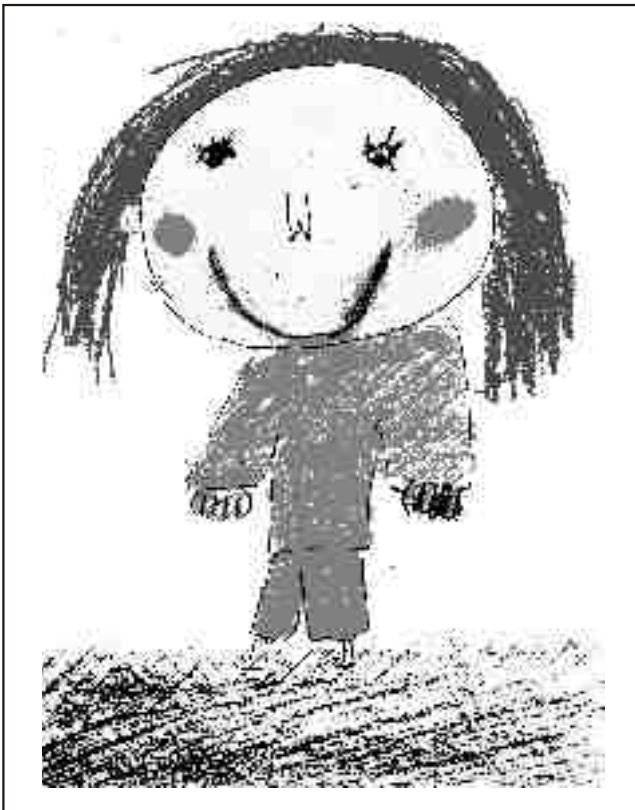
Niewinna

Spadają z nieba
tak niewinne, czyste
okruszyny puchu lepią się
jedna do drugiej
i tworzą jedność
a jedność to siła
płatek po płatku
tworzy się zima
tak piękna
tak śliczna
jak ty.

Zmienić się

Patrzeć w niebo
i nie widzieć gwiazd
widzieć obraz
a nie dostrzegać barw
chodzić po górach
a nie czuć nóg
zmieniając swe życie
zmywasz cały swój brud
zaczynasz od nowa
i zauważasz tego trud.

Maciej Matkowski



Prace plastyczne dzieci - Świetlica Środowiskowa przy ul. Sobieskiego w Bielsku-Białej

Wdzięczność i wytrwałość

Jaka jestem? Jestem radosna, pogodna, choć mam czasem chandrę. Gdy ją mam, zastanawiam się nad sensem życia. Po co ja w ogóle żyję? Dzieje się to wtedy, gdy mnie ktoś okrzyknie, a robi to przeważnie moja mama. Także mam ją wtedy, gdy spadnie mi ciśnienie lub mam niedotleniony mózg. Głównym powodem tego niedotlenienia jest to, że jestem po wylewie okołoporodowym. To właśnie z tego powodu mam problemy w nauce i czasem zachowuję się jak śpiąca królewna. Kiedyś miałam niedowład manualny i byłam zamknięta w sobie. Miałam swój własny świat, własne zabawki. Wolałam bawić się sama niż z rówieśnikami. To minęło. Zrozumiałam, że muszę się zaakceptować taką, jaką jestem. Zaczęłam się zmieniać w trzeciej klasie w podstawówce. Później wiele dał mi dwuletni pobyt w Dziennym Oddziale Terapeutycznym w Bielsku. Nauczyłam się tam normalnie funkcjonować, samodzielnie myśleć i działać. Choć i dziś mam czasem z tym problemy i dlatego czasem mama mnie okrzyknie. W szkole średniej, gdy starałam się o zaświadczenie o dysgrafii powiedziano mi, że mam za niski iloraz inteligencji. Nie wiadomo było, jakim cudem z taką inteligencją przechodziłam z klasy do klasy, a o maturze nie było mowy. Jednak ja zdałam maturę i dostałam się na studia. Wiem, że jeśli się nie poddam, zrealizuję swoje marzenia. Chcę być katechetką, gdyż wiem, że Bóg mnie podtrzyma w trudnych sytuacjach. Stawia na mojej drodze życia wiele wspaniałych ludzi, którzy mnie wspierają i pomagają. I za to **BÓG ZAPŁAĆ**.

Ela Moll

Wytrwałość

Idę szlakiem
w górę, w dół
po kamieniach.
Na stromym wzniesieniu
liczę krople potu
wśród zmęczenia.
Piękny widok opromieniony słońcem
to polana - chwila wytchnienia
potem w wielkim trudzie wzdłuż
chlapiącego i wesoło bulgoczącego
strumienia - po błocie
i już ostatni krok na szczyt
i wygrałam
wygrałam sama z sobą.

Ela Moll

Do zdrowych!

Tu my niepełnosprawni. Zapewne słyszeliście o nas, a może ktoś z Was zna kogoś z nas...

Kim jesteśmy? Mieszkamy na tej samej planecie Ziemi. Żyjemy w różnych częściach świata. Mamy różny kolor skóry i jesteśmy różnych narodowości. Według statystyk stanowimy ponad półmiliardową społeczność sprawnych inaczej. Mówimy różnymi językami, a niektórzy z nas porozumiewają się językiem migowym. Mieszkamy samotnie, z rodzicami, rodzeństwem lub zakładamy własne rodziny.

Niekiedy mamy wrażenie, że najlepiej byłoby, gdyby nas nie było. Nie ma nas i nie ma problemu. Jednakże nie o to chodzi.

Niekiedy naszym domem staje się szpital, ośrodek rehabilitacyjny lub Dom Pomocy Społecznej. Mamy różne charaktery, temperamenty i zapewne nie jesteśmy ideałami, ale ktoś jest? Uczymy się, studiujemy, pracujemy, jesteśmy na rencie lub zupełnie wycofujemy się z życia zmęczeni walką o normalne traktowanie. W poszczególnych państwach nasza sytuacja wygląda inaczej, a jak jest w Polsce?

Część z Was jest bardzo zaprzyjaźniona z nami. Jednakże zazwyczaj nie wiecie, jak zachować się względem nas, ponieważ nie mieścimy się w ogólnie przyjętych normach, a przecież nie zawsze niepełnosprawność jest widoczna dla oczu. Zastanawialiście się kiedyś nad tym? Pojęcie niepełnosprawności jest bardzo szerokie i nie dotyczy tylko narządu ruchu, wzroku czy słuchu, ale także narządów wewnętrznych czy psychiki. Zapewne się zdziwicie, ale osoba mająca cukrzycę czy nowotwór lub niedostosowana społecznie także jest niepełnosprawna, a przecież nigdy się jej tak nie traktuje.

Niekiedy mamy wrażenie, że najlepiej byłoby, gdyby nas nie było. Nie ma nas i nie ma problemu. Jednakże nie o to chodzi. Jeszcze do niedawna można było zauważyć, że otoczenie kształtowane jest w większości przypadków tylko według Waszych potrzeb i możliwości. Obecnie sytuacja powoli się zmienia i miejmy nadzieję, że tak pozostanie. Zdajemy sobie sprawę, że czasami są nam potrzebne pewne pomoce w postaci wózka, kul, gorsetu, itp., tak jak potrzebne są głośniki w radiu czy wieży, by usłyszeć muzykę, a paliwo w samochodzie, aby móc wyruszyć w drogę... W relacjach między nami a Wami było różnie i zapewne wina nie leży tylko po jednej stronie. Nie bójmy się siebie nawzajem. Niech zniknie raz na zawsze podział na nas i Was, ponieważ wbrew pozorom mamy tak wiele wspólnego. Dlaczego? Otóż mamy podobne marzenia, aspiracje, cele... a co najważniejsze - każdy z nas jest CZŁOWIEKIEM i razem stanowimy jedną wielką rodzinę!!

Agnieszka Klusak

Prace plastyczne dzieci - Świetlica Środowiskowa przy ul. Sobieskiego w Bielsku-Białej



5 LAT TEATRU GRODZKIEGO



„Tajemnice świata” Fot. Michał Bagrowski



„Życie jest piękne” Fot. Krzysztof Tusiewicz



„Lokomotywa” Fot. Krzysztof Tusiewicz



„Nauka latania” Fot. Krzysztof Tusiewicz

Pięte urodziny Teatru Grodzkiego to dobra okazja, by podziękować wszystkim Dziennikarzom i Redakcjom, które od początku wspierały i wspierają nasze działania. Przypominamy kilka prasowych głosów o Teatrze Grodzkim, dziękując za zainteresowanie, życzliwość i czas poświęcony stowarzyszeniu.

Maria Schejbal



Wanda Then: Jak udało się w ciągu zaledwie roku działalności skupić wokół teatru blisko 300 dzieci, młodzieży, dorosłych?
Jan Chmiel: Zaproponowaliśmy dobrą, wspólną zabawę, więc chętni zgłaszają się grupami. Teatr jest jak magnes.

Dziennik Zachodni
29 stycznia 2001

Pierwsze urodziny Bielskiego Stowarzyszenia Artystycznego Teatr Grodzki zgromadziły w sali widowiskowej Domu Żołnierza tak duże grono sympatyków i przyjaciół, że spóźnialscy znajdowali siedzące miejsca z wielkim trudem. Dzień poprzedzający święto Trzech Króli był terminem wybranym w sam raz na pokazy teatralne o tematyce bożonarodzeniowej z pastoralką „Gore gwiazda...” na czele. Przedstawił ją zespół Katarantki, w skład którego wchodzi szesnaście młodych osób. (mal)

Beskidzki Informator Kulturalny
luty 2001

Wieloletnia praktyka pozwoliła opracować profesjonalny program, który spodobał się międzynarodowej komisji. Spośród 136 projektów, zgłoszonych w unijnym konkursie, nagrodzonych zostało zaledwie dwadzieścia siedem, ale o tematyce teatralnej tylko jeden, ten wymyślony w Bielsku.

Agata Paruch
Dziennik Polski
4 maja 2002

Skupione twarze, bez cienia zdenerwowania. A przecież już za moment występ. Dla niektórych pierwszy w życiu. Tylko Tomek na wózku się martwi: - Jak ja wyjadę na scenę? - Wnieśmy cię - odpowiadają koledzy. W II Beskidzkim Święcie Małych i Dużych najważniejsi byli aktorzy.

Krzysztof Bąk
Gazeta Wyborcza
27 maja 2002

Widziałem efekt ich pracy - pokazane publicznie w czasie Święta Małych i Dużych oraz zarejestrowane na taśmie minispektakle: wzruszające, zaskakujące, dramatyczne, zabawne, głębokie, piękne. Lecz nie sam efekt tu się najbardziej liczy, a zainteresowanie innymi ludźmi, praca z nimi, tworzenie tak potrzebnych, szczególnie dziś, nowych postaw i autentycznych, nie plakatowych wartości.

Stanisław Janicki
Trybuna Śląska
15-16 czerwca 2002

Cały zespół, wszyscy instruktorzy i pracownicy Teatru Grodzkiego uczyli się na własnych błędach, wysiłkach i sukcesach. (...) Łącząc ich to, że każdy próbował swoją pasję teatralną przenieść na inne warunki. A te warunki są bardzo trudne - choroba, różne jej fazy, załamania, chwile lepsze i gorsze. Zdarza się, że ktoś, kto bardzo długo przygotowywał się do występu, w dzień przed premierą oświadcza, że nie będzie grał lub ucieka. Trzeba sobie wtedy jakoś poradzić.

Jakub Jasiński
Rzeczpospolita
9 czerwca 2003

We współdziałaniu, nawiązaniu kontaktu, mówiąc najprościej: w zwykłym ludzkim ciepłe i próbie zrozumienia odnajdują siebie i sens nieustannego widowiska teatru istnienia. Na swój sposób wszystkie te spektakle powtarzają przesłanie podobne do „Liści”: „Każde istnienie ma sens”. I każde jest potrzebne.

Justyna Zarzycka
Teatr nr 7-9
lipiec-wrzesień 2003

Stowarzyszenie Teatr Grodzki nie ustaje w pionierskim działaniu. Z konsekwencją pozyskuje pieniądze z Unii Europejskiej na coraz ambitniejsze programy. (...) Za działalność w 2003 r. został wyróżniony Złotą Superatą, nagrodą Regionalnego Ośrodka Kultury. Otrzymał też nominację do Ikara 2003, dorocznej nagrody Prezydenta Miasta w dziedzinie kultury i sztuki.

Katarzyna Kucybała
„W Bielsku-Białej” Magazyn Samorządowy
23 stycznia 2004

Teatr Grodzki swoje warsztaty teatralne kieruje właśnie do tych, którzy mają utrudniony dostęp do kultury. Do tych, którzy z powodu życiowych ograniczeń nie potrafią znaleźć miejsca w społeczeństwie. Na co dzień są niepewni siebie, nisko oceniają swoje możliwości. Ale dzięki scenie mogą się przekonać, że jest inaczej, że wiele potrafią. W teatrze każdy może opowiedzieć o sobie. Opowieść na scenie jest fikcją, ale emocje aktorów są prawdziwe.

Elżbieta Piznał
Kronika Beskidzka
8 kwietnia 2004

Najważniejsze w tych występach były przeżycia samych aktorów, uczestników projektu: radość z bycia razem na scenie, z możliwości zaprezentowania swojej pracy rodzicom, kolegom, z udowodnienia sobie i innym, że jest się ważnym, że coś się potrafi. To one udzieliły się widzom i to one zbudowały atmosferę teatralnego święta.

Zuzanna Głowacka
Śląski Kwartalnik Kulturalny
wrzesień 2004



„Życie na wieszaku” Fot. Krzysztof Tusiewicz



„Pierwsi w Unii” Fot. Archiwum



„Liście” Fot. Krzysztof Tusiewicz



„Katarantka” Fot. Archiwum

Zwyczajny dzień

Nie mogę dłużej spać, nawet jeżeli bym chciał. Organizm broni się przed ponownym zapadnięciem się w bezpieczną, gęstą jak pianą nicłość. Przez zasłony prześwietlają jaskrawe, słoneczne ramiona. Czyżby to one kazały mi wstać wbrew mej woli? Wygrzebuję się z ciepłego, mięciutkiego łóżka i staję twarzą w twarz z życiem i samym sobą. Życie, cóż to jest i dlaczego jest takie, jakie jest? Przecież ja go sobie nie wybrałem, tak jak wybiera się sweter czy smak jogurtu w osiedlowym sklepiku. Byłoby mi prościej gdybym miał inne życie, mniej beznadziejne, mniej podle i puste, gdyby....

Codziennie, poranne zajęcia zabierają mi mnóstwo czasu, o wiele za dużo i o wiele więcej niż innym, zdrowym ludziom. Powoli zużę butkę z serem, nie czując jej smaku. Czy w ogóle cokolwiek posiada smak? Jestem przekonany, że nie, bo inaczej nie byłoby tej wszechogarniającej beznadziei. Słyszę tupanie i śmiech na klatce schodowej. Przeklęte dzieciaki! Zawsze i wszędzie ich pełno, jak much w duszne, letnie popołudnie, ciągle się naprzykrzają człowiekowi. Pytają: A dlaczego pan tak chodzi? A dlaczego nie potrafi pan porządnie rzucić piłki? A dlaczego... Z rozdziawionymi buziami czekają na odpowiedź, ale zamiast wyjaśnień słyszą zawsze trzaśnięcie drzwiami. Wiem, że potem stoją chwilę przed drzwiami, coś szeptają, a potem ze śmiechem i nazbyt głośnym tupaniem zbiegają na dół. O tej porze w telewizji nic nie ma, ale i tak metodycznie, a zarazem bezmyślnie przyciskam kolejne guziki z cyferkami. Czarnym pilotem zabijam czas, skracając dzień. W końcu, gdy czuję lekki ból głowy, wyłączam czarne, bezduszne pudło. Robi się cicho, przerażająco cicho, za cicho. Cisza wypełza z każdego kąta pokoju i zbliża się do mnie powolnym, majestatycznym krokiem wampirzycy, która za chwilę rzuci się na swoją ofiarę. Ściany zaczynają się przesuwac, pokój kurczy się. Martwe rzeczy zwabiły mnie w pułapkę. Robi się coraz bardziej duszno i gorąco, powietrze przemienia się w gęsty kisiel. Zaraz zostanę zmiażdżony.

Najszybciej jak to jest tylko możliwe zrywam się z fotela i kuśtykając, powłócząc nogami dopadam do drzwi balkonowych. Dwa mocne, jak mi się wydaje, szarpnięcia nie zdołały jednak otworzyć drzwi. Tylko szyba niepokojąco zabrzączała. Jeszcze jedna próba. Tym razem udało się. Dopadam barierki i lykam rześkie powietrze. Stołce nadal świeci i gra z kolorowymi liśćmi na drzewach. To pierwsze piętro, nie ma sensu skakać, za nisko. Patrzę na ludzi, którzy ciągle dokądś idą. Nieprzerwany ludzki sznur. Oni są tam na dole, a ja tylko o piętro wyżej i już niezauważalny, wyrzucony poza nawias. Jakaś kobieta z dwiema pełnymi zakupów torbami zadarła głowę i uśmiechnęła się do mnie. Trzaskam szklanymi drzwiami. Nie znoszę litości. Nie jestem jakimś dziwadłem na wystawie osobliwości. W lustrze wiszącym w przedpokoju widzę swoją zaciętą twarz i zaraz uciekam od swojego odbicia. Na korytarzu słyszę kroki listonosza. Wiem, że to listonosz. Tylko on chodzi, szeleszcząc kopertami i przystając od czasu do czasu, by wrzucić listy do skrzynek. Ale nigdy to nie jest moja skrzynka. Kiedyś miał ktoś do mnie napisać, ale jak każda letnia obietnica i ta nie została spełniona. Letnie turnusy rehabilitacyjne: wielkie zgromadzenie ludzkiego nieszczęścia w jednym miejscu. Udawanie, że wszystko jest wspaniałe, że jesteśmy szczęśliwi, bo ktoś się nad nami zlitował, przywożąc te wszystkie okazy chorób, jakie mogą spotkać ludzkość w jedno ciche, ustronne miejsce. Nie można uszczęśliwić na siłę i być szczęśliwym wbrew sobie. Tak, ja też mogłem napisać do kogoś, ale po co? By dalej ciągnąć tę obłudną grę i wykrzywiać twarz w uśmiechu?

Słońce już zeszło z najwyższego punktu nieba. Powoli schodzi z dół, by utopić się w nadciągającym mroku. Zjadam byle co, nie chcę bawić się w kucharza. Robię herbatę i przy okazji wysypuję cukier. Klnę na czym świat stoi, to pomaga. Odrobinki słodkiego kryształu wcisnęły się w szpary w podłodze. Nie chce mi się sprzątać, robi to pielęgniarka, która przychodzi trzy razy w tygodniu. Już widzę jej zim-

ne oczy, patrzące na mnie oskarżycielsko. Ale nic mnie ta pozbawiona uczuć kobieta nie obchodzi. Znow biorę do ręki pilota. Życie ustawione według programu telewizyjnego. Patrzę na bohaterów bzdurnej telenoweli, przejmuję się ich losem, zapominając o swoim bezziarenka nadziei. Czasem nagła myśl, niczym błyskawica, przesywa mój umysł: przecież mógłbym gdzieś wyjść. I nawet zrywam się z fotela. Ale równie szybko na niego opadam. Szyderczy żart podświadomości. Dokąd pójść? Wszędzie schody, krzywe chodniki i te oczy: ciekawskie, oburzone lub pełne litości. Czasem może znalazłby się ktoś, kto by pomógł, ale przy okazji zapytał: dlaczego? I być może na jednym dlaczego, by się nie skończyło. Być może jego głos byłby ciepły i pełen prawdziwego zainteresowania, ale ja nie chcę odpowiadać na żadne pytania. Zostają tutaj, gdzie nie ma nikogo, kto by pytał o cokolwiek i tak jest dobrze. Chyba jest dobrze.

Okna kamienicy naprzeciwko za-błysły jaskrawym, żółtym światłem. Zza przezroczystych firanek widać poruszające się ludzkie cienie: dwa, trzy, cztery... Przynajmniej ja dostzegam zawsze kilka cieni w jednym mieszkaniu. Każdy kogoś ma i nie je kolacji ze spikerem telewizyjnych Wiadomości. Koniec dnia. Wracam do miękkiego łóżka, które za kilka chwil znow będzie ciepłe od mojego ciała. Zastaniam oczy powiekami i znowu jestem w swoim świecie, pełnym przyja- ciół, zawsze gotowych, by mnie wysłuchać. Najcudowniejsza dziewczyna czeka przez cały, błądy dzień gdzieś poza światem, by wreszcie w aksamitnej ciemności powitać mnie najpiękniejszym uśmiechem. Jestem u siebie i nie potrzebne mi jutro.

Monika Łysek



Prace plastyczne dzieci - Świetlica Środowiskowa przy ul. Sobieskiego w Bielsku-Białej

Jestem niepełnosprawna, bo:

nie chodzę sama
szarpie mi rękami
nie mam sprawności manualnej

Jestem pełnosprawna, bo:

mam normalny kontakt z ludźmi
skończyłam szkołę z dobrymi wynikami
jestem sprawna umysłowo

Sylvia Juraszek

Dlaczego jestem niepełnosprawna?

Logika podpowiada, żeby jako pierwszy powód niepełnosprawności podać wózek.

Jako drugi powód do niedawna mogłabym podać zupełną niepełnosprawność życiową.
Niepełnosprawna, gdyż tak postrzega mnie rodzina.

Dlaczego jestem sprawna?

Jestem sprawna, bo mam w miarę poukładane pięć klepek.
Przyjaciele widzą mnie sprawną.
A po trzecie sama zaczynam siebie tak postrzegać.

Kasia Wiewióra

TRZY POWODY

Jestem niepełnosprawna, dlatego że ...

Nie przejmowałam się tzw. obciachem, chodząc po ulicy 11 Listopada przebrana za wiedźmę oraz innym razem za cyganek.
Prawie wszystko, czego się tknę, w jakiś sposób komplikuję.
Nie jestem dostosowana do współczesnego świata, nie potrafię oszukiwać, nawet ściągnąć czegoś na sprawdzianie. Nie lubię też większości rzeczy, które zazwyczaj lubią kobiety, np. zakupów czy makijażu.

Jestem sprawna, ponieważ ...

Chodzę do dobrej szkoły i do tego całkiem nieźle sobie tam radzę.
Generalnie ludzie mnie tak odbierają.
Szybko nauczyłam się mówić i wiązać sobie sznurówki od butów.

Ela Sraga

Od wczesnych lat dzieciństwa dane było mi być widzem w teatrze. Na początku był to nie byle jaki teatr, bo Opera Bytomska. Staranna inscenizacja, wykonawstwo i muzyka, wszystko to kształtowało poczucie piękna jeszcze wtedy chłopca. Moim ulubionym zajęciem po powrocie z teatru było odgrywanie zapamiętanych scen z danej opery czy operetki. Na szczęście w moim dzieciństwie bardzo późno pojawił się telewizor. Miałem więc sporo czasu na poznawanie świata na własną rękę. Pierwszym poważniejszym zafascynowaniem poezją była lektura „Pana Tadeusza”, w siódmej klasie, a pierwsze recytacje wiązały się z akademiami na cześć. Z czarnego Śląska wyjechałem do Krakowa. Mieszkałem w Nowej Hucie, gdzie Operę zastąpił mi Teatr Ludowy. Na co dzień mieliśmy okazję stykać się też z innymi formami sztuki, takimi jak koncerty muzyki poważnej, Teatr Rapsodyczny i inne. W liceum działało kółko teatralne, które wystawiło „Antygonę”. Przypadła mi w tej sztuce mała rolka posłańca. Mieliśmy też kółko literackie. Owocem jego działania był ciekawy konkurs literacki na wiersz o Nowej Hucie. Pierwsze miejsce w tym konkursie zajęła Ewa Lipska, a ja drugi! Kolejną okazję do zetknięcia się ze sceną dawało harcerstwo. Udało się przy hufcu zorganizować teatrzyk amatorski, którym kierował student ostatniego roku Krakowskiej Szkoły Teatralnej. Jedno jest pewne, że kontakty ze sceną pozwoliły mi na wyzbycie się nadmiernej tremy i były doskonałym treningiem dla wyobraźni, pamięci i smaku artystycznego.

Studenckie lata przyniosły inne problemy. Jednym z trudniejszych był pogarszający się wzrok. Przerwane z konieczności studia i krok w realizm polegający na zdobyciu zawodu masażysty. Po ukończeniu szkoły masażu - praca, małżeństwo i od nowa nauka. W tym zestawie nie było czasu na teatr. Los niespodziewanie stworzył mi nową szansę. Po studiach przenieśliem się z rodziną do Bielska-Białej, żeby zorganizować i poprowadzić w nowym województwie Okręg Polskiego Związku Niewidomych. Przy tej okazji natrafiłem znowu na teatr. Był to Teatr Poezji, początkowo przy Kole Terenowym w Bielsku-Białej, a później przy Zarządzie Okręgu. Teatr ten w swoim działaniu był podobny do Teatru Rapsodycznego. Przy bardzo oszczędnych środkach inscenizacyjnych opierał się na słowie. Wtedy po raz pierwszy zdarzyło mi się startować w konkursach recytatorskich. I taki był początek niełatwej, ale ciekawej przygody z recytacją, teatrem jednego aktora i z poezją. Znalazłem się w towarzystwie osób, którym bezradność medycyny lub wypadki zapewniły miejsce wśród członków Polskiego Związku Niewidomych. Praca w zespole teatralnym z jednej strony była miłym i pozytywnym spędzaniem czasu, a równocześnie dawała możliwość prezentowania swoich umiejętności recytatorskich przed publicznością. Pierwszy Klucz do Skarbcza Literatury Polskiej (nagrada wojewódzka) udało mi się zdobyć po kilku latach pracy. Oznaczało to, że po eliminacjach wojewódzkich Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego przysłała kolej na międzywojewódzkie. Za pierwszym razem na tym się skończyło. Kolejny Klucz okazał się bardziej szczęśliwy, otworzył on drogę do eliminacji centralnych. Poznań był wtedy miejscem pięknych zmagania recytatorów. Znalazłem się w cieniu podium. Cenne wyróżnienie pozwoliło uwierzyć w siebie i dodało sił do dalszej pracy nad doskonaleniem amatorskiego warsztatu. Ogromną przyjemnością była możliwość posłuchania innych recytatorów oraz udział w warsztatach prowadzonych przez wybitnych specjalistów, jak np. Irena Jun, Andrzej Glowacki, Lech Śliwonik. Postanowiłem sobie wtedy, że jeżeli przejdę do rezerwy recytatorskiej, to będę brał udział jako wolny słuchacz w centralnych eliminacjach. Póki co jednak udaje mi się jeszcze w nich uczestniczyć czynnie i nie jestem najstarszy.

Do przytoczonych imprez doszło seminaryjno-naukowe spojrzenie na teatr w postaci cennej inicjatywy Uniwersytetu Łódzkiego. Miałem przyjemność uczestniczyć w dwóch takich spotkaniach. Prezentowałem swój warsztat recytatorski i równocześnie brałem udział jako uczestnik w wszystkich innych prezentacjach oraz seminariach. Na pierwszym Spotkaniu Łódzkim były prezentowane zespoły z zakładów dla osób z upośledzeniem umysłowym, na drugich swoje umiejętności artystyczne prezentowali inwalidzi słuchu i wzroku. Śmiało rozwijałam w zakresie artterapii, czy - jak kto woli - teatroterapii, stosowane przez Anglików, Belgów i innych przedstawicieli tej formy rehabilitacji, w wielu przypadkach szkoliły naszych znawców przedmiotu. Mnie utkwiło w pamięci z pierwszego spotkania to, że spektakle prezentowane przez polskie zakłady dla osób z obniżoną normą umysłową nie musiały się wstydić swojego dorobku artystycznego. Za drugim razem ogromne wrażenie wywarło na mnie prezentowanie przez inwalidów słuchu (ze znacznym jego upośledzeniem) tańców hiszpańskich. Na sali siedzieli Hiszpanie i to oni nie chcieli pozwolić na zejście ze sceny zespołu złożonego z sześciu czy ośmiu par młodych dziewcząt i chłopców, którzy na gorącą prośbę widowni bisowali trzy razy flamenco. Jak to było możliwe, że tak rytmicznie i tak ogniste tańczyły osoby pozbawione słuchu? Muzyka była głośniejsza niż zwykle, ale dla nich i tak nie była słyszalna, chyba jedynie jej rezonans, a jednak pary w tak płynny i poprawny sposób wirowały na scenie, jakby dokładnie słyszały melodię, a nie tylko rytm. Moją przewodniczką wyjaśniła mi później, że całym układem tanecznym sterował stojący na widowni w widocznym dobrze oświetlonym miejscu, ubrany na biało instruktor. Kiedy ten człowiek po wielu bisach schodził ze swojego strategicznego stanowiska był zmęczony, ale i szczęśliwy sukcesem swoich tancerzy.

W historii moich przygód teatralno-recytatorskich na trwałe wpięły się też inne zdarzenia. Pierwsze to Rydzyna, rok 1996, piękna sala tamtejszego zamku i proza Witkacego w połączeniu z poezją Herberta. Wynik tej prezentacji pozwolił mi zostać laureatem III miejsca Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego. Było to dodatkowo najwyższe trofeum, jakie w tej dziedzinie, od wielu lat, zdobył bielski recytator. Wynik, poza satysfakcją, zobowiązywał do utrzymania, a raczej doskonalenia warsztatu. W tym miejscu zdałem sobie sprawę z różnicy pomiędzy mną a młodymi laureatami tegoż Konkursu. Ich wysokie pozycje otwierały im drogę do wymarzonej szkoły teatralnej, a mnie pozwalały, po prostu, cieszyć się z osiągnięcia. Bielskie władze miasta odpowiedzialne za kulturę zaczęły częściej finansować moje wyjazdy związane z różnymi turniejami i konkursami. I, co najważniejsze, dały mi możliwość korzystania w dalszym ciągu z fachowej pomocy instruktora. Po Rydzynie postanowiliśmy zmienić formę prezentacji. Wróciłem do uprawianej wcześniej sztuki prezentowania monodramów. Przez dwa kolejne lata w miejsce recytacji podjąłem o wiele trudniejszą formę teatru jednego aktora. W obydwu przypadkach miałem zaszczyt znaleźć się w gronie piętnastu laureatów tej formy prezentacji i brać udział w Ogólnopolskich Spotkaniach Artystycznych Teatrów Jednego Aktora odbywających się tradycyjnie w Zgorzelcu. Moż-

liwość brania udziału w turniejach pozwoliła wrócić do formy recytacji. Komputer i oprogramowanie mówiące pozwoliło mi łatwiej radzić sobie z tekstami. Choć może to, co napiszę, zabrzmi dziwnie, ale nie potrafię uczyć się tekstu, którego nie mam napisanego w brajlu. Co innego powtórki, obróbki średniowiek czy temu podobne działania, a co innego zwyczajne nauczenie się tekstu. Pismo Braille'a jest dostępne bardziej osobiście niż te wszystkie osiągnięcia elektroniki. Fakt poważnej dysfunkcji wzroku nie jest w moim przekonaniu niczym, co mogłoby przeszkodzić w recytacji. Pojęcie integracja ma w moim przypadku i w kontekście recytacji pełny zakres swojego znaczenia.

Jak to było możliwe, że tak rytmicznie i tak ogniste tańczyły osoby pozbawione słuchu? Muzyka była głośniejsza niż zwykle, ale dla nich i tak nie była słyszalna, chyba jedynie jej rezonans, a jednak pary w tak płynny i poprawny sposób wirowały na scenie, jakby dokładnie słyszały melodię, a nie tylko rytm.

Bez pracy nie ma kołaczy. Bez przygotowania tekstu, zżycia się z nim i dopracowania szczegółów interpretacyjnych nie byłoby tych wyników. To już ćwierć wieku trwa nieprzerwana współpraca z jednym i tym samym instruktorem, panem Andrzejem Jakubicką. Chyba tylko dzięki nieustannej zmianie repertuaru nie znudziliśmy się sobie. Jest to klasyczny przykład wzajemnej zależności. Moje sukcesy są sukcesami mojego instruktora. Nie ma w tym stwierdzeniu przesady. Z obiektywnych przyczyn nie mam zbyt wielkich możliwości wyszukiwania tekstów. Mój instruktor jest w tej dyscyplinie mistrzem. Wynajduje kilka tekstów i pozwala mi dokonać wyboru. Lata współpracy sprawiają, że teksty dobrane są w pełnej zgodzie z moim gustem i charakterem. Kiedy teksty są już opracowane, pozostaje jeszcze ustalenie kolejności prezentacji. O wyjątkowych zdolnościach w doborze tekstów przez mojego instruktora świadczy fakt, że za scenariusz oparty na tekstach Zbigniewa Herberta pt. „Arytmetyka współczucia” otrzymał on nagrodę na konkursie ogólnopolskim, a ja miałem niepowtarzalną okazję rozmawiać się w twórczości tego poety i pisarza. Wcześniej prezentowałem monodram przygotowany również przez mojego instruktora oparty na tekstach Cypriana Kamila Norwida pt. „Gorzki to chleb jest polskość”. Za ten scenariusz nie otrzymał on co prawda nagrody, ale tekst jeszcze wtedy musiał być zatwierdzony przez śp. cenzurę w Bielsku-Białej. Olówek cenzora použíwał sobie na tekiecie. Na stwierdzenie, że nie ma w tym tekiecie niczego, co nie byłoby wydrukowane w oficjalnym obiegu, i że po tych cieżkich monodramach przestanie istnieć jako forma do prezentacji, pan cenzor powiedział: „Nie szkodzi, tu i tak jeszcze wiele tekstu zostało”. Na szczęście innego zdania był cenzor w Nowym Sączu. W końcu wygrał argument, że jest to zamknięta impreza, a był nią Turniej Poezji Romantycznej w Zakopanem, i w drodze wyjątku zezwolenie na prezentację całości tekstu zostało udzielone. Wśród wielu tekstów, które dane mi było przygotowywać na kolejne prezentacje, był niejeden, który podobał mi się bardziej od innych. Nie ma wśród tekstów prezentowanych przeze mnie takich, których bym nie lubił, ale są takie, które lubię szczególnie. Są to teksty, które swą treścią pomagają rozładowywać napięcia i wyrażać mocne nastroje. Szczególne miejsce w mojej duszy zajmuje wiersz Adama Zagajewskiego „Jechać do Lwowa”. Autor poświęca ten wiersz rodzicom, z którymi podobnie jak ja musiał wyjechać z miasta, w którym się urodził i spędził pierwsze lata życia. Wiersz ten wyraża ogromną tęsknotę za czymś utraconym i żal, że istnieją granice. Na jednym z Konkursów Recytatorskich, w czasie omawiania prezentowanych tekstów, jeden z jurorów powiedział, że każdy ma swój Lwów. To właśnie z tego miasta jako dwuletnie dziecko przyjechałem wraz z rodzicami na Śląsk. Ten wiersz na długo przed jego wykonaniem tkwił we mnie. Mówiąc go, rozumiałem, co chciała powiedzieć mama twierdząc, że do Lwowa gotowa jest wrócić choćby na kłęczkach.

Osobnym zjawiskiem teatralnym był nasz Teatr Poezji Niewidomych. Piszę „był”, ponieważ w sposób naturalny wykuszili się jego członkowie. Niektórzy odeszli na zawsze, a niektórym wiek już nie pozwala na wyjście na scenę. Zespół Teatru liczył od sześciu do ośmiu osób. Repertuar był urozmaicony: od składek tekstów Norwida przez „Dwunastu” Błoka po „Niobe” Gałczyńskiego (która nigdy nie była wystawiona pomimo przygotowania). Do szczególnych programów należy zaliczyć spektakle „Wpisani w Beskid” i „Frywolności plebejskie”. Były to programy, które przyniosły Teatrowi liczące się trofea nie tylko na konkursach recytatorskich i teatralnych niewidomych. „Frywolności plebejskie” były prezentowane w liceach dla uczniów zapoznających się z literaturą Reja, Kochanowskiego, Morsztyna i innych twórców tego okresu w polskiej literaturze. Dodatkową atrakcją prezentacji stanowił fakt wystawiania programu w kostiumach z epoki. Były również programy okolicznościowe oparte zawsze na dobrych literackich tekstach. W połowie lat dziewięćdziesiątych została podjęta próba stworzenia Teatru na nowo, z nowymi ludźmi, niestety skończyło się jedynie na pierwszym spotkaniu. Nie pomogły coroczne konkursy recytatorskie organizowane przez Okręg Polskiego Związku Niewidomych. O ile jeszcze na indywidualne prezentacje byli chętni, to już do pracy w zespole ich brakło.

Teatr Poezji Niewidomych to także ciekawe studium w temacie „Teatr dla życia”. Do naszego Teatru mógł przyjść każdy. Nawet ktoś z kłopotami z wymową czy z figurą nieateatralną. Nasz instruktor potrafił wszystkie anomalie brać pod uwagę przy doborze tekstów. Wszystkim jednakowo nasz Teatr dawał możliwość obcowania z pięknym żywym słowem, stwarzał konieczność rozumnego uczenia się tekstu i wreszcie uczył niełatwej sztuki współpracy w zespole. Różne bywają koleje losu niewidomych dzieci. O nasz Teatr takie dziecko też się otało. Nazbyt troskliwi rodzice trzymali córeczkę „pod kłosem”. Przypadek sprawił, że udało się tej dziewczynce zabrać prawie siłą, a na pewno sposobem, na kurs rehabilitacji podstawowej. Miałem wtedy, jako instruktor na tym kursie, uczyć tej dziewczynki pisma Braille'a. Było to pierwsze w jej życiu pismo, którym bardzo szybko zaczęła się posługiwać biernie i czynnie. Dysponowała ciekawym tymbrem głosu. Kiedy przysłała na pierwszą próbę naszego Teatru, okazało się, że ma wrażliwą na teksty poetyckie duszę. Kilka udanych prezentacji i nasza pupilka postanowiła w wieku 17 lat rozpocząć edukację. Ukończyła ekstermystycznie szkołę podstawową, a potem jeszcze kursy zawodowe. Siłą sprawczą dla podjęcia przez nią trudu pełniejszego życia stała się możliwość samorealizacji w oparciu o scenę i dobre teksty. Próbowwała nawet tworzyć sama. Przypadek ten mocno uzasadnia rolę teatru w służbie życia chcącego być pełnym.

Zacząć wypada od banalnego stwierdzenia, iż rehabilitacja przez kulturę i sztukę jest jedną z najbardziej efektywnych form rehabilitacji społecznej, a równocześnie nadal zupełnie niedoceniana w Polsce. Takie traktowanie wynika głównie z całkowitego przytłoczenia problemami życia codziennego pozostałych sfer działalności ludzkiej. Psychologiczne teorie potrzeb społecznych wyraźnie wskazują na ich hierarchiczność. Innymi słowy, jeżeli człowiek nie będzie miał zaspokojonych potrzeb niższego rzędu, takich jak np. poczucie bezpieczeństwa, zaspokojenie głodu, potrzeba ogniska domowego, to cóż mu tam mówić o potrzebach wyższego rzędu, jak uwrażliwienie na piękno czy obcowanie ze sztuką. Wiem, wiem, wiele wybitnych dzieł powstawało w „udręce i ekstazie”, a ich twórcy kończyli żywot w przytułkach dla ubogich, są to jednak wyjątki, które potwierdzają regułę.

Terapeutyczną funkcję sztuki w odniesieniu do osób niepełnosprawnych należałoby rozpatrywać wielorako. Z jednej strony (niejako przy okazji) jest terapia fizyczna, gdy poprzez aktywne działania w zakresie różnych dyscyplin sztuki mamy możliwość usprawniać fizycznie tych ludzi. Rzeźbienie, zwłaszcza w glinie, daje przecież kapitalną możliwość rozwijania sprawności manualnej, a kto widział z jaką niezwykłą zręcznością malarze bez rąk posługują się kredkami czy pędzlem, trzymając je między palcami nóg, wie, że wymaga to iście cyrkowego wygimnastykowania. Takim usprawnianiem jest też terapia ogólnoruchowa w czasie zajęć teatralnych czy parateatralnych, na przykład dramowych, szczególnie przydatna dla ludzi niewidomych. Akurat w tym zakresie mam pewne doświadczenia, bo od 1975 roku nieprzerwanie prowadzę Teatr Poezji Niewidomych, jedyny tego typu teatr w Polsce, a w każdym razie, jedyny tak długo działający. Pracujemy w oparciu o specjalne metody, związane właśnie z orientacją przestrzenną, które w toku wieloletnich doświadczeń udało mi się wypracować. Osobie niepełnosprawnej ruchowo można powiedzieć: słuchaj, przejdiesz tutaj albo tam, tu zrobisz trzy kroki do tyłu. Ta osoba z trudem, jednak wykona postawione jej zadanie. Zagospodarowanie przestrzeni scenicznej przez osobę niewidomą nastręcza o wiele więcej kłopotów, ale też wdrażanie pewnych metod powoduje, że ona sobie potem znacznie lepiej radzi w życiu codziennym i jest dużo sprawniejsza niż niewidomy, który w takich zajęciach nie uczestniczył. Drugim aspektem omawianego zagadnienia jest terapia psychiczna. Jej celem jest możliwość uzyskania akceptacji społecznej, a co jeszcze ważniejsze - daje możliwość autoakceptacji, kiedy to człowiek niepełnosprawny może sam zaakceptować swoją inność. Na przykład niewidomy recytator mo-

że występować w konkursie otwartym, nie tylko w „getcie” dla współnieszczęśników, ale też, co bardzo istotne, w konfrontacji z ludźmi zdrowymi. Może z tej rywalizacji nawet wychodzić zwycięsko, bo najważniejsze jest niewidoczne dla oczu, jak powiedział Mały Książę. Takie przykłady można mnożyć. Stąd już tylko krótka droga do autokreacji. Jest to ogromna szansa na „wyjście z cienia”, pokazanie, że coś się potrafi, że coś można zrobić, że można być kreatywnym, że można pokazać swoją wrażliwość w formie literackiej, malarskiej, teatralnej czy muzycznej. To jest argument nie do przecenienia, który wielu z tych ludzi bardzo podbudowuje i wzmacnia psychicznie. Nie mniej ważne są funkcje edukacyjne, kiedy to przy okazji działań, których przykłady podawałem wcześniej, poznaje się literaturę, historię teatru, techniki plastyczne, kierunki i prądy w historii sztuki czy muzyce. Jest to na pewno znakomita możliwość wzbogacania wiedzy ogólnej, stanowiąca często stymulator działań autoedukacyjnych.

W tym miejscu nie mogę odmówić sobie przytoczenia pewnego, jakże znamienitego przykładu. Zdarzyło się przed laty, że na jednym z wielkich bielskich osiedli mieszkała niewidoma od urodzenia dziewczyna. Rodzice uważali, że skoro Bóg pokarał ich takim dzieckiem, nie należy się tym chwalić tylko trzymać w domu „pod kloszem”, godząc się z okrutnym losem. W ten sposób w centrum trzydziestopięcioletniego osiedla rosła sobie i tyła niewidoma analfabетка. Harcerki z „Nieprzetartego szlaku”, które tę dziewczynę wyprowadzały na spacer, opowiedziały mi o niej. Któregoś popołudnia przyprowadziły ją do nas, na próbę zespołu. Okazało się wtedy, że Grażyna to bardzo wrażliwa i bardzo inteligentna osoba, która w dodatku ładnie mówi. Zaproponowałem jej udział w naszym teatrze. Ponieważ pracujemy takimi metodami, które nie wymagają znajomości czytania i pisania, mogła zacząć od zaraz. Stało się jednak coś, czego nikt wcześniej nie przewidział. Po „zaszczepieniu się” naszym specjalnym teatrem Grażyna zaczęła nagle robić w domu awantury rodzicom, że chce się uczyć, chce skończyć szkołę, zdobyć zawód. Wyrzuciła im, że unieszczęśliwili ją dodatkowo, nie kształcąc jej. Trochę jej pomogliśmy i w wieku siedemnastu lat eksternistycznie skończyła szkołę podstawową, a potem w bydgoskim zakładzie dla niewidomych szkołę zawodową. Niestety, już nie żyje, ale jest kapitalnym przykładem „odwróconej piramidy”. Normalną bowiem jest rzeczą, że ktoś ma pewien zasób wiedzy i chcąc ją poszerzyć wchodzi w skład grupy artystycznej. W przypadku Grażyny stało się odwrotnie; najpierw ten wyższy pułap, a potem dopiero świadomość, że brakuje podstawowych narzędzi, które koniecznie trzeba zdobyć.



Prace plastyczne dzieci - Świetlica Środowiskowa przy ul. Sobieskiego w Bielsku-Białej

Trzeci z owych elementów, to ten z „najwyższej półki”, czyli sztuka jako instrument dający możliwość poprawy własnego statusu materialnego i zawodowego. Obecnie zapanaowała w Polsce dziwna moda na dzielenie sztuki kryteriami pozartystycznymi. Z dużą rezerwą podchodzi jednak do konkursów czy wystaw, na których prezentuje się twórczość wyłącznie osób niepełnosprawnych. Stosowanie zamiast kryteriów artystycznych np. kryterium rodzaju schorzenia artysty samo w sobie jest chore i prowadzi do absurdu. Idąc dalej, możemy prezentować osobno sztukę łysych, rudych i jeszcze jakichś innych. Przecież miliony dolarów płaci się za obrazy van Gogha nie dlatego, że był schizofrenikiem i obciął sobie ucho, ale dlatego, że był genialnym malarzem. Słuchamy Charlesa, Wondera czy znakomitego tenora Bocellego nie dlatego, że są niewidomi, lecz dlatego, że są wspaniałymi muzykami. IX Symfonia Beethovena, którą zachwyca się cały świat, powstała wtedy, gdy kompozytor nie mógł już sam jej usłyszeć, bo ogluchł, ale przecież nie to jest powodem naszego zachwyty. Wybrana grupa twórców, oczywiście nie wszyscy, bo talentami Bóg nierówno rozdziela, ma możliwość zaistnieć szerzej i na dłużej, niezależnie od swej niepełnosprawności. Te osoby mają prawie wszystko, co do szczęścia potrzebne: z jednej strony spełnienie, a z drugiej zewnętrznej akceptację tego, co robią, wyrażającą się często w całkiem wymiernych złotychkach. Przykładem jest choćby malujący nogami i ustami pewien artysta malarz. Jego obrazy tak znakomicie się sprzedają, że twórca ten wybudował sobie pod Nowym Sączem wspaniały dom i kupił luksusowego Mercedesa, którego prowadzi, notabene, nogami. Znakomicie funkcjonuje, nie musząc korzystać z pomocy PFRON-u, PCPR-u i tym podobnych instytucji. Świetnie sobie daje radę, mimo że urodził się pozbawiony obu rąk. Równie wybitnym artystą jest mieszkający

w Bielsku-Białej niewidomy rzeźbiarz Jan Szklany, którego pracami zachwycają się znawcy tej dziedziny sztuki. Świetnie radzą sobie również członkowie Stowarzyszenia Artystów Malujących Ustami i Nogami, których kartki świąteczne sprzedawane są na całym świecie. Wiem, bo taką kartkę dostałem aż z Kanady. Podobnie prosperuje wielu niewidomych muzyków, których kształcą wyspecjalizowane w tym krakowskie i poznańskie szkoły muzyczne.

doskonale zdają sobie sprawę z tego, że w naszej ogólnej mizerii mówienie o kulturze i sztuce, zarówno w sensie konsumpcyjnym, jak i twórczym, może być uznawane za jakieś fanaberie. Mimo to zachęcam do pielęgnowania i rozwijania zainteresowań takich odmieńców, jeżeli się w Waszym środowisku pojawiają. Wiercie mi, to naprawdę wszystkim się oplaca.

Andrzej Jakubiczka

JACY JESTEŚMY

KARTKI Z KALENDARZA DRUGIEGO ŻYCIA

Wrzuciłem kilka dat do komputera i obliczył mi, że 29 kwietnia tego roku przeżyję tyle samo dni na wózku, co za „starego” życia. W języku ludzi poruszających się na wózku „starym” lub „poprzednim życiem” określa się czas do wypadku lub choroby. Stare życie skończyło się 24 czerwca 1977 roku, gdy przez lekkomyślność i młodzieńczą fantazję stanąłem na parapecie czwartego piętra w akademiku i obsunęła mi się noga. Oto kilka karteek z kalendarza drugiego życia.

28 października 1977

Budził się poranek październikowy, taki jak każdy inny z poranków spędzonych w szpitalu. Leżą już pięć miesięcy i to leżą całkowicie, po wypadku, który zakończył się uszkodzeniem rdzenia kręgowego i paraplegią, czyli spariżowaniem połowy ciała od pasa w dół. Pielęgniarki jak zwykle zaczynają obchód, przynosząc miski z wodą do mycia i poranne poddrowienie. Dzień ten będzie dla mnie jednak niepowodzeniem. Dzisiaj mam zdawać egzamin magisterski. W szpitalu, na łóżku. Na tę okazję sprowadzono specjalne łóżko, tamane, które sterowane było elektrycznie i mogło przyjąć kształt fotela. Jak na owe czasy wynalazek był rewolucyjny i paraplegikowi dawał większą swobodę w przyjmowaniu różnych pozycji obolałego ciała. Dla mnie był szczególnie przydatny, gdyż w pozycji półleżącej mogłem przystąpić do egzaminu. Na zwykły wózek inwalidzki jeszcze wtedy nie siadałem. Wielu zabiegów ze strony rodziców, promotorki, ordynatora oddziału wymagało doprowadzenie do mojego egzaminu magisterskiego. Były trudności. Dziekan uparł się, że sprawa jest nie do załatwienia. Jakis regulamin akademicki mówił, że egzamin magisterski musi odbywać się na terenie uczelni. Chociaż szpital to nie uczelnia, mądrzejszy prorektor (a może odważniejszy) wyraził zgodę, i stwierdził, że nic nie stoi na przeszkodzie, abym mógł zdawać egzamin w szpitalu. Komisja składała się z dziekana, dyrektora mojego instytutu i pani docent, mojej promotorki, która całą duszą popierała mnie i dopingowała, abym zdawał tenże egzamin w tym miejscu i czasie. Zabawna i inna niż na zwykłym egzaminie była narada komisji, bo komisja musiała udać się na naradę do gabinetu ordynatora. Podczas normalnego egzaminu komisja wyprasza zdającego z sali i obraduje na temat oceny. Egzamin zdałem. Ocena była nieważna, ważne było (wiem to dzisiaj z perspektywy 23 lat na wózku) pokonanie pierwszego wielkiego proggu i pogodzenie się z tym, że i w takiej nietypowej i strasznej sytuacji jestem coś wart. Może trochę nieświadomie, może trochę mocno zdopingowany przez innych, może trochę jeszcze wierzący w jakieś odzrowienie, podjąłem się ten krok wykonać. I zaowocował on w przyszyłym życiu. Przez ostatnie 23

lata miałem setki takich egzaminów, począwszy od malutkich progów z pokoju do pokoju, poprzez pracę przez osiem lat jako nauczyciel w szkole podstawowej, ślub i małżeństwo, do dzisiejszej pracy w dużej firmie przemysłowej na samodzielnym stanowisku.

20 sierpnia 1979

Patrzyło na mnie piętnaście par oczu (9 z czwartej i 6 z piątej klasy; były to czasy klas łączonych), trochę wystraszonych, trochę łobuzerskich, a jednak zaciekawionych, gdy po części ogólnej rozpoczęcia roku szkolnego siedzieli w ławkach i patrzyli na mnie wjeżdżającego do klasy na wózku. Ja byłem nie mniej przejęty i stremowany, choć w duchu powtarzałem sobie, że muszę być opanowany, jednocześnie oficjalny, ale i przystępny. Scenariusz tego pierwszego kontaktu z dziećmi układałem sobie już od kilku tygodni, gdy otrzymałem z kuratorium oświaty wiadomość, że mogę podjąć pracę jako nauczyciel w szkole podstawowej. Kurator tytułem próby (do dziś podziwiam jego odwagę, biorąc poprawkę na komunistyczne czasy i przepis mówiący o niezatrudnianiu nauczycieli z widocznymi oznakami kalectwa) zgodził się na zatrudnienie mnie na 3/4 etatu, z możliwością pracy na całym etacie, gdy tylko się sprawdzę i podolam trudom zawodu nauczycielskiego. Według mego rozważania, w tamtych czasach byłem chyba jedynym w Polsce nauczycielem na wózku, uczącym w normalnej szkole podstawowej. Przedstawiłem się, powiedziałem dzieciom, czego będę ich uczył, powiedziałem, że rada pedagogiczna wyznaczyła mnie na ich wychowawcę i zaprosiłem przedstawić się z ich strony. Zapadła krótka chwila milczenia i było widać, że jednak nie o czymś takim w tej chwili myśleli. Ja ich nie ponaglałem i też na siłę nie wskazywałem nikogo do przedstawienia się. Po krótkiej chwili nie wytrzymał, jak się później okazało, przywódca grupy, jeden z najodważniejszych dzieciaków, i troszeczkę sepleniał zapytał „prose pana, a cy pan kiedyś będzie chodził?” Wiedziałem, że muszę w tej chwili być szczery, bo tłumaczenie się i wymijające odpowiedzi nie miałyby sensu. Odpowiedziałem krótko: nie. I przez następne osiem lat, kiedy byłem nauczycielem w tej szkole, żadne dziecko nie pytało mnie o to, dlaczego jestem na wózku, co więcej nie zauważyłem najmniejszego gestu czy ironii z ich strony co do mej odmienności.

27 grudnia 1986

Lekko przószył śnieg i zapadł wczesny grudniowy zmrok, gdy wysiadaliśmy z Gabrysią z mercedesa kolegi, który zgodził się zawieźć nas do ślubu. Po cichu przeklinałem tego mercedesa i byłem zły na to, że ktoś tak wymyślił, aby młodożeńcy, jechali kom-

fortowym autem do ślubu. Jaki to komfort dla paraplegika, gdy nie ma się za co złapać przy wsiadaniu. I jeszcze schody w kościele. Na szczęście kolega, który nas wioził, był w pobliżu i już mogliśmy dumnie przemaszerować przez cały kościół. Zerkając ukradkiem na boki, widziałem w kościelnych ławkach twarze moich uczniów, rodziców moich uczniów, jak i obcych ludzi, którzy przyszli ze zwykłej ciekawości, aby zobaczyć ślub trochę niezwykły, trochę inny. Droga do tego ołtarza była długa. Znaliliśmy się z Gabrysią od dziesięciu lat i jej upór, ale i niecierpliwość sprawiła, że w dziesiątym roku znajomości po prostu zagroziła mi rzucaniem, jeżeli nie zdecyduję się na ślub. Dziś wiem, że straciłem te dziesięć lat. Ale wtedy oboje byliśmy szczęśliwi tą chwilą. Podchodzimy do ołtarza. Sytuacja trochę niezwykła jak na ślub, bo jedno z małżonków klęczy na klęczniku, a drugie siedzi na wózku. Proboszcz z tajemniczym uśmiechem wyszedł wraz z ministrantami z za-

asystować przy tym, co miało się za parę chwil wydarzyć. Ustawili mnie z lewej strony Gabrysi, gdyż z prawej lekarka musiała cały czas monitorować przebieg porodu, a u stóp były dwie położne przyjmujące poród. Po jakimś zastrzyku wszystko miało się stosunkowo szybko zacząć. I tak też się stało. Kilkanaście minut napięcia, pokrzykiwań położnych, żeby Gabrysia parła. Spokojne polecenia lekarki, fachowa analiza ułożenia noworodka, informacje o etapach porodu i po kilkunastu minutach szybkiego bicia serca, zaczął krzyczeć, malutki, drobnutki, ale wrzaskliwy - nasz synek. Byłem w tej chwili chyba najszczęśliwszym człowiekiem na Ziemi. Nie mogłem się na niego napałtać. Zaraz pojechałem z pielęgniarką do pokoju, gdzie się noworodki waży i mierzy. Byłem dumny, że po ośmiu latach małżeństwa wreszcie urodził nam się syn. Było już po północy, gdy uszczęśliwiony opuścił szpital. Portier szpitalny nie chciał mnie wypuścić, bo myślał, że jestem chyba jakimś pomyślnym pacjentem, na dodatek na

Po cichu przeklinałem tego mercedesa i byłem zły na to, że ktoś tak wymyślił, aby młodożeńcy jechali komfortowym autem do ślubu. Jaki to komfort dla paraplegika, gdy nie ma się za co złapać przy wsiadaniu. I jeszcze schody w kościele.

krystii. Zaintonował jakąś pieśń i omal oboje z Gabrysią nie padliśmy z wrażeń - z zakrytymi wychodzi trzech naszych znajomych księży, którzy specjalnie na naszą uroczystość „uciekli” ze swoich parafii. Jak się później okazało, „odsunęli” oni proboszcza od ceremonii naszego ślubu, przypisując mu tylko rolę kantora. Kilka godzin później, już podczas biesiady weselnej wdałem się w dyskusję z moimi księżmi o kilku złamanych zasadach i tradycjach jak chociażby klęczenie w czasie nabożeństwa czy przeniesienie panny młodej przez próg. Jeden z moich księży, już nie wiem który, powiedział: „Jeżeli Pan Bóg posadził cię na wózku, to widocznie nie zależy mu na tym, abyś na swoim ślubie klęczał i przenosił żonę przez próg. Bogu wystarczy, że ją przewieziesz”.

10 czerwca 1994

Dojeżdżam do szpitala w Bydgoszczy, gdy po telefonie od Gabrysi wiedziałem, że będzie nam się rodził syn. Żona już od kilku dni leżała na oddziale patologii ciąży pod opieką znajomej lekarki, bo spodziewaliśmy się trudnego porodu i ja miałem w tym też uczestniczyć. Były to początki porodów rodzinnych i oddział położniczy szpitala w Bydgoszczy był do tego przygotowany, ale nie był przygotowany na to, że partnerem asystującym przy porodzie będzie osoba na wózku. Pomieszczenie izby porodowej było stosunkowo małe. Łóżko, jakiś monitor pokazujący tętno płodu, stojak do kroplówki i jeszcze ja kręcący się od jednej strony do drugiej, raz trzymający Gabrysię za rękę, raz ocierający jej pot z czoła, stanowiliśmy w tej izbie komplet. A tu jeszcze przylatujące co jakiś czas pielęgniarki z pytaniami o samopoczucie przyszłej matki i przyszłego ojca i ciekawskie pacjentki, które też chciały zobaczyć tę trochę niezwykłą parę. Musiałem mieć chyba nietęgą minę, gdy koleżanka - lekarka po raz kolejny pytała mnie, czy aby na pewno chcę

wózek, który w nocy chce uciec ze szpitala. I jeszcze, gdy mu powiedziałem, że dopiero co urodził mi się syn, to całkowicie zaniemówił i po chwili dzwonił na oddział, prosząc o potwierdzenie, czy to wszystko jest prawdą. Było.

marzec 2000

Jedziemy z Adasiem po wodę do miejskiej studni. On rowerkiem jeszcze na czterech kółkach, bo nie opanował dobrze równowagi, i ja też na czterech kółkach, na wózku. W Toruniu jest kilka ujęć wody oligoceńskiej. Jedno jest blisko naszego domu. Aby do niego dojechać, muszę w dwóch miejscach pomóc Adasiowi pokonać krawężnik. Ja pokonuję je tak, jak nauczyłem się tego ponad dziesięć lat temu na jednym z pierwszych obozów aktywnej rehabilitacji. Rozpędzam się, podrywam przednie kółka i siłą rozpędu wjeżdżam na krawężnik. Zjeżdżam z krawężnika w balansie na dwóch kółkach. Naprzeciwko, widzę, idzie dwóch lekko chwiejących się gości, pewnie po kilku piwach. Po ubiorze, zachowaniu i sposobie mówienia, już z daleka daje się wyczuć, że są z tych, którzy za dużo w swoim życiu nie popracowali. Widząc mnie pomagającego Adasiowi w przejeździe przez krawężnik chcą zagadać i jeden z nich odzywa się w te słowa: „te, Stasiek, patrz jak jedna bida pomaga drugiej”. Przez prawie dwadzieścia trzy lata widziałem dziesiątki ludzi na różny sposób nieszcześnie, widziałem takich, których jedynym pragnieniem było skończyć ze sobą, takich, dla których jedynym celem była ucieczka w alkohol, takich którzy, aby choć trochę poczuć się „normalnymi”, poświęcili się sportowi zapominając, że chyba największą wartością jest jednak rodzina. Prawie dwadzieścia trzy lata na wózku, to co przeżyłem, czego doświadczyłem, co wydaje mi się, że dałem innym, pozwala mi dzisiaj powiedzieć: „i kto tu jest bida”.

Ryszard Marek Czukiewski

MOJA HISTORIA

Wzmocniłam się w wierze w ludzką dobroć i w tolerancję. Chciałabym bardzo, aby również w Polsce było więcej tolerancji dla osób niepełnosprawnych. Aby osoby niepełnosprawne wierzyły w siebie i w swe możliwości, w to, że mogą coś osiągnąć, a nie tylko siedzieć w domu.

Jestem osobą niepełnosprawną od urodzenia. Jest to już 26 lat. Lekarze powiedzieli, że przy moim schorzeniu nie będę chodzić, mówić, robić czegokolwiek, będę - jak to się ładnie mówi roślinką. Moja mama jednak była bardzo uparta i nie poddała się. Dzięki niej przeszedłam operację bioder, miałam liczne badania i rehabilitację. Efekt jest taki, że poruszam się prawie samodzielnie, przy pomocy balkonika lub na dłuższe dystanse wózkem. Dzięki jej namowom pojechałam pierwszy raz na wakacje dla chorych. Towarzystwo jednak nie było w moim wieku, miałam wtedy zaledwie 9 lat. Tam poznałam wolontariuszki i jedna z nich zabrała mnie rok później na wakacje dla młodzieży, gdzie rokrocznie jeździłam i spędzałam 10 dni cudownych wakacji. W liceum wyciągnęła mnie na spotkanie grupy, która - jak się okazało - organizowała wyjazd integracyjny do Anglii. Tam zawiązały się liczne przyjaźnie i część z nich trwa do dziś. Poznałam, co to być osobą akceptowaną wśród obcych ludzi, jak być osobą niepełnosprawną tam. Skończyłam liceum, udało mi się znaleźć pracę i teraz już jest 5 lat, jak pracuję w domu na komputerze.

Rok temu poznałam dziewczynę, która pracuje w organizacji wolontariackiej. Wymyśliła sobie, że osoba niepełnosprawna również może być wolontariuszem i może wyjeżdżać. Początkowo miał być to roczny wolontariat za granicą, ale ze względu na mój wiek doszliśmy do wniosku, iż tymczasowo pojedzie na tzw. krótkoterminowy wyjazd. Wymyśliłam sobie, co bym chciała robić i szukaliśmy organizacji w Europie, która zechce mnie przyjąć. Po nawet niedługim staraniu udało się. W Irlandii znalazł się pewien wariat, który powiedział: „O.K., to może się udać i będzie to dla nas ciekawe doświadczenie”. Był tylko mały problem, ponieważ wyjazd powinien trwać trzy tygodnie, a ja miałam tylko dwutygodniowy projekt. Udało się jednak zorganizować dla mnie ostatni, trzeci, tydzień pobytu. Mieliśmy trzy dni w sumie, aby przygotować mój wyjazd, czyli bilet lotniczy i kilka innych wiadomych rzeczy. Tak się szczęśliwie zdarzyło, że urlop miałam zaplanowany od jakiegoś czasu w takim właśnie terminie, w którym wypadł mój wyjazd, czyli w czerwcu. Pierwszy raz leciałam sama, byłam całkowicie zdana na siebie i na ludzi, którzy pracują na lotnisku. Świat z góry wygląda bardzo fajnie, a chmury na niebie są przepiękne w minusowej temperaturze.

Śczęśliwie dotarłam do Irlandii. Moim oczom ukazały się góry wieczorową porą. Przyjaźnie nastawieni ludzie i moja przewodniczka z tamtejszego wolontariatu. Zawiozła mnie do noclegowni, pomogła się zameldować i umówiłyśmy się na następną dzień. W południe dnia następnego dostarczono mnie do miejsca docelowego. Okazało się, iż w gronie

6 wolontariuszy byłam jedyną osobą niepełnosprawną. Narodowości były różne lecz wiek podobny. Ośrodek, w którym mieliśmy pracować - to coś w rodzaju rezerwatu przyrodniczego. Tam dzieci uczyły się ekologii, poznały rośliny, uczyły się, jak segregować śmieci, jak dbać o środowisko i otaczającą je zielen. Nasza praca polegała głównie na porządkowaniu terenu z chwastów, odżywianiu małych drzewek „witaminami”. Dano mi sekator do obcinania gałęzi oraz grabie do oczyszczenia trawy i nie przeszkadzało to, iż jestem na wózku. Jednak praca nie była na terenie naszego miejsca pobytu, trzeba było iść około dwa kilometry ze sprzętem, a na dodatek mieliśmy do pokonania olbrzymią górę. Zawsze mogłam liczyć na pomoc w jej pokonaniu. Było trzech chłopaków, którzy - choć nie musieli - zawsze służyli pomocą i nigdy nic złego mi nie powiedzieli. Gdy prace były za trudne, abym mogła w nich uczestniczyć, zawsze mogłam liczyć na pracę w biurze na miejscu oraz w kuchni, ponieważ tam również miałam balkonik i kuchenne meble, mogłam swobodnie się poruszać i zazwyczaj do mnie należał obowiązek gotowania obiadowej. Razem chodziliśmy do pubów, razem zwiedziliśmy miasto Bre nad Morzem Irlandzkim, razem wybraliśmy się do Dublina, gdzie zwiedzaliśmy muzeum, galerię narodową. Wybraliśmy się też, aby zwiedzić stare zamczysko i ruiny w Glendalough. Wszystko robiliśmy razem. Dogadywałam się bardzo dobrze, podszkoliłam swój język angielski.

Czas mijał niestety za szybko. Gdy musieliśmy się rozstać, były łzy. Dwoje wolontariuszy wróciło do domu, pozostała trójka ruszyła na zwiedzanie Irlandii, a ja na podbój kolejnego miejsca pracy wolontariackiej. Wróciłam do stolicy Irlandii, odprowadzono mnie na pociąg i pojechałam sobie na środek wyspy. Tam czekał na mnie kierownik ośrodka dla osób niepełnosprawnych, w którym urządzone są wakacje dwutygodniowe lub też dwu-, trzydniowe wypady. Również i tam poznałam miłych i przyjaznych ludzi, zarówno tam pracujących, jak i kilka grup, które w międzyczasie przyjechały. Wywiozłam stamtąd kilka przyjaźni, niezapomniane przeżycia i miłość do żywej, zazwyczaj gitarowej, irlandzkiej muzyki.

Wzmocniłam się w wierze w ludzką dobroć i w tolerancję. Chciałabym bardzo, aby również w Polsce było więcej tolerancji dla osób niepełnosprawnych. Aby osoby niepełnosprawne wierzyły w siebie i w swe możliwości, w to, że mogą coś osiągnąć, a nie tylko siedzieć w domu. Aby po prostu były traktowane jak NORMALNY PEŁNOWARTOŚCIOWY CZŁOWIEK.

Życzę też każdemu takiej Mamy, jaką ja mam.

Beata z Poznania



Prace plastyczne dzieci - Świetlica Środowiskowa przy ul. Sobieskiego w Bielsku-Białej

Teatr Grodzki

Bielskie Stowarzyszenie Artystyczne Teatr Grodzki powstało w Bielsku-Białej w 1999 roku. Skupia artystów, pedagogów i animatorów kultury zaangażowanych w teatralną pracę warsztatową z dziećmi, młodzieżą i dorosłymi z tzw. grup dysfunkcyjnych - środowisk doświadczonych i zagrożonych patologiami społecznymi, dotkniętych biedą, chorobą, cierpieniem i przemocą, osób upośledzonych fizycznie i umysłowo, wyłączonej z wielu dziedzin życia. „Jesteśmy” powstało z potrzeby dzielenia się doświadczeniami, które są udziałem Teatru Grodzkiego na co dzień. Chodziło nam o osvajanie z innością i budzenie wrażliwości, o stworzenie okazji

do rozmowy i o postawienie ważnych pytań: co każdy z nas może zrobić, by nie było miejsca na społeczną marginalizację, na podziały w naszym najbliższym środowisku. A także o pokazywanie dobrych, mądrych i pięknych inicjatyw i o prezentację twórczości osób niepełnosprawnych, w bardzo szerokim rozumieniu pojęcia niepełnosprawności. Pierwszym i najważniejszym adresatem „Jesteśmy” są od początku ludzie młodzi, którzy włączyli się aktywnie do współtworzenia profilu gazety. Pismo wydawane jest od 2002 roku, ukazuje się nieregularnie i wciąż szuka swojego własnego kształtu. Niniejszy numer powstał pod hasłem: „Jacy jesteście?”.



JESTEŚMY

Wydawca: Bielskie Stowarzyszenie Artystyczne Teatr Grodzki
Adres Redakcji: Klub Garnizonowy Dom Żołnierza
ul. Broniewskiego 27, 43-300 Bielsko-Biała
Tel. (33) 8120455, Tel/Fax (33) 8162182
www.teatrgrodzki.netpol.pl
e-mail: teatrgrodzki@netpol.pl

Redakcja numeru: Maria Schejbal, współpraca: Tomasz Zieliński, Renata Morawska, Janka Graban
Nakład: 2000

Skład i druk: Bielskie Stowarzyszenie Artystyczne Teatr Grodzki, Bielsko-Biała
ISSN 1730-0207

„Jesteśmy” także w internetowej Witrynie Czasopism
www.witryna.czasopism.pl

Działalność Teatru Grodzkiego wspierają:

